Lwów, 24. Kwietnia. №48. Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr miesieczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycinyy mód kwartal. 1 Złr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazwe umieszczenie.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział V.

ODKRYCIE.

(Ciąg dalszy.)

Dawszy ogólny zarys charakteru pana Wolińskiego jak się na zewnątrz objawiał, wejdźmy teraz do starego zameczku w Słobódce. Skrzydło to pierwszopiętrowe najstaranniej przerobione, wychodziło na ogród, do którego z pięknej wystawy, ubranej w wazony z kwiatami, schodziło się po schodach kamiennych. W nim były pokoje bawialne i jadalne, i w nim było mieszkanie matki i córki. Brygadier sam mieszkał na drugiej stronie, gdzie w starej baszcie po nad staw wznoszącej się, kazał sobie urządzić kika pokoi, które były mu dlatego główne dogodne, że w chwilach samotności tam był więcej od gwaru oddalony, miał wyjście swoje prosto na dziedziniec i do bramy wchodowej, miał nareszcie pod sobą stajnię, a do koni, miał jak się zdawało najwięcej przywiązania.

Było to już poźno wieczorem. W pięknie przybranym saloniku, którego okna otwarte wychodziły na kamienną wystawę, siedziała pani Wolińska przy małym stoliczku, na którym dwie paliły się świece. Antosia krzątała się po pokoju, skończywszy bowiem lekcye udzielane jej przez starą guwernantkę oczywiście francuzkę, bo innych w owym czasie nie znano, składała lalki i inne zabawki. Guwernantka, poczciwa staruszka z dawnej emigracyi, która jeszcze w domu matki pani Wolińskiej bawiła, i która na szczęście Antosi i z domu dobre przyniosła zasady, i przez pobyt długi w Polsce, umiała się zastosować do zwyczajów polskich i do wymagań wychowania polskiego, już była odeszła do swego pokoju, bo Antosia spała w pokoju matki.

— Czemu mama nie idzie spać? spytała nareszcie dziewczyna, zmęczona bieganiem.

— Jeszcze zostanę chwilkę; odrzekła matka otwierajac niedbale książkę, którą niby czytała. Jeżeli jesteś śpiąca moje dziecię, to połóż się...

— Ale bo mama myśli o czemś... mama smutna...

— Smutna nie jestem, a myśleć musi przecie każdy człowiek.

— Może mama myśli o Witołdku?...

— O nim!.. o nim!.. rzekła pani Krystyna z mimowolnem wzruszeniem... Dlaczegoż o nim?..

— Bo ja ciągle myślę o nim!.. on taki ładny, taki młody a taki dobry... Wie mama żem go kardzo pokochała, a przecie ja go tak szanuję, jakby już był stary, jakby był bóg wie czem. Powiedz mi mamo dlaczego to?

— Bo zapewne bóg dał temu chłopcowi wyższy umysł i wyższe serce..

— To on będzie bardzo szczęśliwy!

— Daj Boże! odrzekła matka i westchnęła, bo mając doświadczenie życia, wiedziała już że wyższość umysłu i serca w życiu rzeczywistem są świetnym, ale rzadko uszczęśliwiającym darem.

Jeszcze trochę pogwarzyła maleńka, i ucałowana przez matkę zmówiwszy przy niej pacierz, poszła do łóżeczka.

Matka spojrzała na nią, i nowe westchnienie dobyło się z jej piersi.

— Obyś była szczęśliwą! mówiła do siebie... Ja ją kocham, kocham bardzo, ale to przecie nie moja córka.. nie moja! ja niemam dzieci... Boże! niemam...

Dla tej kobiety z sercem kochającem, żyjącej po większej części w samotności, bez rodziny bliższej, obok męża, którego bytność w domu na dnie rachować można, być bezdzietną, to cierpienie, jakiego mężczyźni, których życie nie jest tak skupione na wewnątrz jak u niewiast, rozumieć nawet nie potrafią.

Tu będzie miejsce powiedzieć, że pani Wolińska widząc że niema dzieci, a czując potrzebę przywiązania się do jakiej istoty, wzięła Antosię, sierotę po ubogiej dobrego rodu szlachciance, w kolysce jeszcze, i przyjęła ją za córkę. Przywiązała się rzczywiście do niej, i były chwile, w których sama nawet zapominać się zdawała, że Antosia nie jest jej córką własną. I nawet w tej mierze nielubiła gdy jej przypadkiem wspomniał kto o tem; u męża wybłagała to że jej nigdy o tem nie wspomni, ani dziecku nie odkryje, i sama też nigdy ani słowem nie zdradziła się przed dziewczynką, a dla pewności nawet większej, pooddalała sługi, które były wówczas przy niej, gdy Antosię brała do siebie. Pierwszy raz zdarzyło się jej, że wspomniała o tem przed Chorążym, ale w onej chwili szczególnego wzruszenia jakiego doznała, nie mogła zataić tej bolesnej rany przed starym ojcowskim

przyjacielem. Bo nieraz daremnie przemawiała do siebie samej, że to dziecko kocha jak swe własne, że niemogłaby życzyć sobie lepszego i poczciwszego dziecka; wewnętrzny odpowiadał jej głos: Ty niemasz własnego dziecka. Dla matki własne jej dziecię łączy się z nią jakimś węzłem odrębnym; węzeł ten jest tajemnicą przyrody, która tworzy z dziecka jakoby cząstkę matki, jak gdyby ułamek oderwany od serca pod którem spoczywało.

Długo tak jeszcze siedziała i marzyła. Od czasu jej powrotu z klasztoru dziwne jakieś uczucie tęsknoty zaciężyło na sercu. Ona sama zrozumieć nie mogła, dla czego ten sierota klasztorny zrobił na niej tak silne wrażenie. Antosia zgadła gdy pytała matki czy nie myśli o Witołdzie; czy to jego sieroctwo, czy piękne i myślące rysy, czy co innego, nie wiedziała sama, ale to pewna, że wzbudził w niej nadzwyczajne zajęcie.

W tem ozwał się chód męski. Krystyna przysłuchiwała się zdziwiona. Mąż jej od kilku dni nie był w domu a choćby i wrócił, nie było to w jego zwyczaju przychodzić do niej tak późno. Oni mieszkając pod jednym dachem niewidywali się nieraz i po całych tygodniach i miesiącach; brygadier bowiem najwięcej pod pozorem słabości jadał u siebie. Tymczasem był to rzeczywiście pan Woliński, który wszedł w niezwykle dobrem usposobieniu.

— Nie spisz jeszcze, zawołał do niej głosem bardzo uprzejmym.

Zdziwiona spojrzała na niego, bo nie był to głos jego zwyczajny, niemniej przeto przyjęła tę przemianę z właściwym sobie rozsądkiem, a chociaż się to rzadko trafiało, każde przyjaźniejsze męża ozwanie się, tłumaczyła ona zawsze na korzyść jego. Pan Ignacy Woliński należał do rzędu tych ludzi, o których mówią: musiał to być bardzo piękny mężczyzna; rysy bowiem były regularne i piękne, lecz je brzydziła przedwczesna starość, chorowita bladość twarzy, i ten wyraz zmysłowego przesycenia, które przeciąga usta do szyderczego uśmiechu Satyra. Łysy, chudy, kościsty, zgarbiony nieco, a zaniedbany już od dawna w ubiorze i całym układzie, wyglądał na istną ruinę. Namiętności tylko łyskające czasem z oczów, były jak owe zjadliwe węże, jedyni mieszkańce starych gruzów.

— Nie chce mi się spać jeszcze, odrzekła żona z równą uprzejmością.

— To szczęśliwa myśl ci przyszła; ja w tej chwili przyjechałem, i niespodziewałem się zastać już ciebie.

— Dobre więc miałam przeczucie.

— I mnie się spać nie chce; przyszedłem zatem na pogadankę.

Mówił tak naturalnie, że się jej zdziwienie zmniejszało a natomiast rosła nadzieja szczęśliwej jakiejś przemiany w usposobieniu męża, o którą ona tylekroć Boga błagała. Ani na myśl nie przyszło poczciwej kobiecie że dobry humor brygadiera pochodził z tego po prostu, że znaczną kwotę wygrał w karty, które przy jego zawsze namiętnem a już zużytem usposobieniu nadzwyczaj silny i jedyny prawie wywierały wpływ.

— Bawiłeś się dobrze! spytała go żona.

— Doskonale! wiesz przecie że jeździłem na imieniny do podkomorzego. Wiesz jaki to przyjemny człowiek.

— Pan Onufry Zwierciński jest bardzo wesoły, i lubi wiele gadać, a może też wiele gadać, bo ciekawy podobno. Wszakże nazywają go w okolicy pocztylionem plotek.

— Jego plotki są niewinne; i tu przynajmniej w tej zapadłej okolicy nie łatwo o plotki.

— Sam chciałeś w niej mieszkać, przerwała żona z lekkim uśmiechem.

— Bo mnie znudzili te nowiniarze wołyńscy, co to kręcą się po całym świecie i potem zwożą jakieś odwieczne historje, jakby to kogo obchodziło. A tyś nie kontenta z tej Litwy nad którą przepadałaś dawniej?..

— I owszem! owszem! ja wolę ciszę lasową, jak te wesołe równiny, pełne gwaru.

— I czy wielki był zjazd na tym waszym odpuście?

— Na odpuście! powtórzyła żona, i zamyślona urwała.

— Nie musiałaś się bardzo bawić, bo coś milczysz?

— Nie dla tego! i owszem ale mi w tej chwili inna myśl przeszła przez głowę...

— Inna myśl! i jakaż? a w oczach jego dotąd dosyć spokojnych zabłysł wyraz niepospolitej i czychającej ciekawości.

— Myśl przelotna, bez związku z tem co mówiliśmy.

— A przecież?

Pani Wolińska spojrzała uważnie na męża, jakby chciała się twarzy jego zapytać, i wyczytać z niej, czy może mu się zwierzyć. Snać odpowiedź twarzy była zadowolająca, bo lekki choć smutny uśmiech rozjaśnił jej usta; i w rzeczy samej wyraz twarzy pana Ignacego był ciągle bardzo uprzejmy.

— Ale nie będziesz się gniewać, jeżeli cię poproszę.

— A więc prożba! i owszem! proś tylko jestem i w usposobieniu i w położeniu, że ci nieodmówię żadnej, choćby niewiem wiele mnie kosztować miała. A to nie zawsze mnie się trafia! nieprawdaż? dodał przymuszając się do uśmiechu.

— Moja prożba! nie kosztowna; odrzekła żona drżąc mimowolnie na całym ciele... Ja bym chciała usłyszeć raz jeszcze...

— Co? krzyknął głosem już groźniejszym.

— Usłyszeć szczegóły... mojego nieszczęścia! ty wiesz mężu o czem mówię...

Na te słowa zerwał się pan Ignacy jak oparzony, i przyskoczył ku niej.

— Na cóż wznawiać... wszak to się już wrócić nie może.

— A przecież kto wie?

— Co?! wrzasnał przeraźliwie; czy masz jaki powód do takiego pytania?

— Nie, niemam powodu żadnego; odpowiedziała przestraszona wyrazem jego oczów.

— Niemam! i zaczął chodzić po pokoju ze spuszczonym w ziemię wzrokiem.

Czas jakiś trwało milczenie którego pani Wolińska nieśmiała przerywać.

— Co za ciekawość! na co ta ciekawość! powtarzał mąż półgłosem, jakby sam gadał do siebie... On już nie żyje! nie!

— Nie żyje! jakby echo odpowiedziała żona. A przecież! są zdarzenia!

— Zdarzenia! głupie kobiety wierzą zawsze w cuda; wszak ci już opowiadałem...

— Powtórz mężu! powtórz! może w słowach twoich odkryję jaką nie dostrzeżoną dotąd iskierkę nadziei.

— Smieszność! wszak mówiłem ci, że ze snu przebudzony nagle, ujrzałem się otoczony płomieńmi buchającemi już zewsząd. To było szczęście że byłem ubrany. Skoczyłem do drugiego pokoju... tam tam... aby...

— Ratować go? dzięki tobie!

— Przedemną runął sufit.... drzwi się zawaliły... same płomienie! już było po wszystkiem; z dala słyczałem dzikie głosy jakiejś bandy niesfornej co podpaliła. Ledwiem się wydostał, nie czekając już na powóz co miał z miasta po nas przyjechać, i tylko dzielności konia mego winien byłem, żem zdołał uciec.

— Boże, czemu nie zostałam, czemu dałam się namówić dla urojonej myśli bezpieczeństwa.

— Zawsze ta wymówka!

— Nie tobie ta wymówka mężu! ale mnie! bo ja byłam matką! matką! a teraz...

— Zapewne całym taborem było jechać, aby nas napadli.

— Byłabym go albo wyratowała, albo zginęła z nim razem.

— Czyliż czas nie może ukoić cierpień twoich! te wieczne treny są nudne, są nieznośne!

— Nigdy nie ukoi!...

— Chciałaś mieć dziecko!.. masz córkę.. którą dla ciebie przymuszam się uważać za swoją.

— Bogu dzięki niech będą za nią.. ale ja byłam matką..

— Mogłabyś nie powtarzać mi tego tak często!. wyrzekł gwałtownie. Dobrze mi tak!. zachciało mi się pięknej pogadanki! dodał i wybiegł z pokoju, zatrzasnąwszy drzwi za sobą..

— Słuszna kara twoja o Boże!.. wyrzekła pani Wolińska i pobiegła do swego pokoju, aby uklęknąć przed obrazem ukrzyżowanego zbawiciela.

— Boże! twoje miłosierdzie jest wielkie! modliła się łkając, biedna kobieta. Ty jesteś wszechmogący! w twoim ręku są cuda...

Gdy wstała spłakana po długiej modlitwie, twarz jej piękna, przybrała nazad wyraz tej spokojnej rezygnacyi, którą często wywalczać musiała długiemi bolami wewnętrznemi...

Pocałowała dziecię w czoło, a idąc do łóżka rzekła jeszcze:

— A przecież!... Nie! o nie!.. niema cudów dla grzesznicy.

Długo zasnąć nie mogła, a gdy zasnęła, dziwne jakieś miała sny, które ją jeszcze więcej zmęczyły. Dawno minione zdarzenia przedstawiały się jej w dziwnej gmatwaninie ze zdarzeniami dni ostatnich. Daremne były jej usiłowania przez dnie następne, by odzyskać spokój wewnętrzny; dziwny miotał nią niespokój, którego wytłumaczyć sobie na żaden sposób nie mogła. Pieszczoty nawet Antosi nic pomódz nie mogły.

Pan Woliński przez kilka dni nie wychodził ze swoich pokojów, aż znowu nagle bez pożegnania wyjechał. Dziwny był jego stosunek z małą Antosią; dziecko przyzwyczaiło się do tego, że ją ojciec nigdy nie popieścił; myślało w duszy że to już tak zawsze być musi, że tylko matki kochają i pieszczą; do ojca przystępowała zawsze nieśmiało, i z rodzajem bojaźni.

Jakaż była jej radość, gdy nazajutrz po wyjeździe męża, powiedziała jej matka, że pojadą do klasztoru nad Wiliją. Klasnęła szczęśliwa w dłonie.

— Jedziemy do Witołda!. wołała.. prawda że do niego?

— Do niego! odpowiedziała matka mimowolnie; a pomyślała przytem: Trzynaście lat... i mój miałby dziś tyle.

— Muszę się ubrać w różową sukienkę, bom mu to przyrzekła.

Przez całą drogę gadała o nim, a matka słuchała jej z upodobaniem. Witołd, który większą część dnia na świeżem przepędzał powietrzu, postrzegł zdala jadący powóz, poznał go, i zbiegł co prędzej na dół, i pospieszył z promem naprzeciw nim. Przywitanie było czułe z obu stron: i matka i córka uścisnęły młodego chłopaka, jakby go znały od dawna, jakby do nich należał. Witołd z całym zapałem swojego usposobienia i wdzięczności ucałował rękę matki, i pulchną twarzyczkę córeczki.

— Bawcie się dzieci tymczasem w ogrodzie; mówiła matka; ja pójdę do kościoła by się pomodlić i odbyć spowiedź...

— A z czegoż się mama będzie spowiadać, kiedy mama jak anioł! prawda Witołdku?.

— Spowiedź, to zbliżenie się do tego ojca, który nas osypuje łaskami swemi! odpowiedział młody chłopiec.

— Jak tylko będę starsza, będę się także spowiadać.. a ty mnie przygotujesz Witołdzie, ty mnie nauczysz..

— Czy jest ojciec Dominik w klasztorze?.. spytała jeszcze pani Wolińska.

— Nigdy się nie oddala z klasztoru.

— Do niego mam najwięcej zaufania. Czy jest w celi swojej?...

— Idzie właśnie ku nam.

Podczas gdy dzieci pobiegli razem do ogródka, pani Wolińska oddaliła się z ojcem Dominikiem.

Witołd pobiegł naprzód z Antosią do kwiatków swoich, Bo młody chłopiec kochał namiętnie kwiatki swoje, i jakby z przyjaciołmi rozmawiał, jakby przyjaciół rozumiał doskonale.

— One mają swój język!.. mówił do Antosi.

— Co też pleciesz Witołdku, zegadła dziewczynka wielkie na niego wypatrując oczy.

— Gdybyś tak nieraz siedziała sama między niemi, czy przy pierwszym zorzy brzasku, czy przy zmroku wieczornym, jak wietrzyk poruszy, zrozumiałabyś Antosiu, i pojęła ich język woni, barw i kształtów. Jest to ich właściwy język, nadany im przez opatrzność! O gdybyś wiedziała Antosiu jak cudnie piękne rozpowiadają mi rzeczy o tym wielkim Bogu, którego są cudownym alfabetem, o tych aniołkach w niebie, których są na ziemi obrazem.

Antosia słuchała młodego chłopca ze wzrastającą uwagą, i patrzyła w jego piękną marzeniem natchnioną twarzyczkę z naiwnie dziecinnem uszanowaniem..

— Jak ty mówisz ślicznie Witołdku mój!

— A jakie mają czucie te śliczne kwiatki moje! mówił dalej natchniony chłopiec.

I pokazał jej ów kwiatek, którego kielich więcej i piękniej za każdem zamyka się dotknięciem. I pokazał jej ten krzew, którego każdy listek przerwany przez pół, drga w wodzie jakby żywy, jakby chciał koniecznie z oderwaną połączyć się połówką. I pokazał jej te kwiatki co słońcem tylko i dla słońca żyją, jemu tylko odsłaniają wszystkie swych barw skarby, a zamykają o wieczornym zmroku.

Antosia aż w dłonie klasnęła z wielkiego podziwu. I nagle przyskoczyła do chłopca, ujęła go za szyję i serdecznie pocałowała.

— Braciszku mój! zawołała z uniesieniem.

— Siostrzyczko moja! odpowiedział Witołd. Obyś nią była! dodał i smutno westchnął.

Bo był sierota; a sieroctwo ciężka to myśl pod której władzą, prędko dojrzewa i serce i umysł. Kto niemiał matki, nie był nigdy dzieckiem, bo matczyne oko, to niebo dla dziecka, a pieszczoty matki to pierwsza dziecinna igraszka. A matki chciałyby pieścić, pieścić i pieścić; one by chętnie syna pieściły i młodzieńcem i mężem nawet.

(C. d. n.)

ZŁOTA RYBKA.

Dołem sinej wody
Złota rybka mknie,
Z brzegu chłopiec młody
Polne kwiatki rwie.

— Wypłyń rybko złota,
Wypłyń z zimnych fal,
W sercu mem tęsknota,
Nadzieja i żal.

Ach tam wieczna zima,
Mętne życie tam,
Wiosny nigdy niema,
Tu ja kwiaty mam!

— Nęcisz mnie daremnie,
Niczem kwiatek twój,
Zimna dusza wemnie
Zimna krew jak zdrój.

Próżna twa tęsknota,
Przestań o mnie śnić,
Bo ja rybka złota
W zimnie muszę żyć.

Westchnął chłopiec młody,
Lecz nie płakał, nie,
Dołem zimnej wody
Złota rybka mknie.

18. kwietnia. ***J. C. Z.***

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY I WYCIECZEK PO KAUKAZIE.

(Ciąg dalszy.)

Prócz tego od ujścia Wołgi (1781 r.). znowu wystąpiła pod żagle flotylla rossyjska na morzu Kaspijskiem, z zamiarem opanowania niektórych nadbrzeżnych punktów w prowincyach perskich. Chrześcianscy carowie Gruzyi i innych ziem kaukazkich, więcej sympatyzując z chrześciańska swą protektorką niż z Persyą, coraz więcej szukali jej opieki. Lecz w **1787** r. znów stanęła Turcya pod bronią i grzmot wojny rozległ się po wyniosłych górach. Rossya bierze szturmem Anapę (1791 r.) i od Czerkiesow zdobywa Sudżuk-kale. Lecz traktatem w Jassach w r. **1792** zawartym, obie te fortece napowrót zwrócone Turcyi, z warunkiem, aby ta powstrzymała pustoszące nabiegi Czerkiesów, a Rossyi przyznana protekcya nad chrześcianską Gruzyą i sąsiedniemi jej ziemiami. Z niechęcią na tę protekcyą patrzała Persya. Szach jej Aga-Mahomet-Chan

wkracza 1795 r. do Gruzyi, niosąc miecz zemsty do tej pięknej krainy. Tyflis splądrowany, a mieszkańcy jego padają pod mściwym bułatem szacha. Tak więc znów zapalona pochodnia wojny. Generałowie Katarzyny II wkraczają bystro do krajów perskich, ponad Kaspijskiem morzem leżących, mszcząc się za krzywdę Tyflisu. Derbent, Baku, Szemacha, Handża, cały brzeg nad-kaspijski aż do rzeki Kury, dostaje się Rossyi. Lecz ze śmiercią Katarzyny II, następca jej Paweł I inny daje kierunek swojej polityce. Za wstąpieniem na tron każe swym wojskom ustąpić z tych prowincyj i zrzeka się dobrowolnie wszelkich dotychczasowych korzyści. Lecz niezadługo król Gruzyi Grzegórz XII dobrowolnie poddaje się Cesarzowi, spełniając wolę nieboszczyka ojca swego Herakliusza I. Manifest z 12 września 1802 r. ogłasza Gruzyą pod władzą i zarządem Rossyi. Dla ubezpiecznia zaś Gruzyi od sąsiadów na nią czyhających, podbite zostały w 1804 r. państwa Dżaro-Batokańskie, Handżyjskie i uśmierzeni Lezginowie. Z takichto drobnych ziem, hańtw i sułtańsw, składał się kraj zakaukazki i kaukazki. Poddawały się one Rossyi jużto dobrowolnie, już z musu: Mingrelia, Imeretia, hańtwo Karabachskie, Szekińskie, Szyrwańskie, sułtańswo Szuragielskie, wszystkie prócz jednowiernej z Gruzyą Mingrelii i Imeretti, wyznające mahometanizm. W krótce znowu Derbent, Baku, Kuba, których hanowie obawiając się sprawiedliwej zemsty Rossyi (za zabicie zdradą głównowodzącego na Kaukazie ks. Cycyanowa), bezwarunkowo się poddają.

Tak więc już od gór po rzekę Kurę, od Czarnego do Kaspijskiego morza, rozciągała się potęga Rossyi, która panując w Szuszy, obudzala obawę ciągłą w Persyi. Jakoż zamordowanie posła rossyjskiego w Teheranie, było hasłem do rozpoczęcia nowych kroków nieprzyjacielskich. Pokój Turkmanczacki (1828 r.) poddał Rossyi Erywan i Nachiczewań: dwa miasta otwierające jej wstęp do Persyi, a granicę aż do rzeki Araxy posunął. Nareszcie pokojem Adryanopolskim 1829 r. który ostatecznie zakończył nieporozumienia jej z owemi dwiema potencyami, nabywa Rossya Anapę i Sudżuk-kale, dwie fortece nad Czarnem morzem, od których można powiedzieć, los gór zależał: bo tym sposobem górale oddzieleni zostali od jednowiernej z nimi Turcyi i zupełnie pozbawieni jej pomocy. Fanatyzm religijny pomnaża ich przyrodzoną odwagę, a wojna wyłącznie z nimi prowadzona, przybiera odrębny charakter, ciekawy dla taktyka i zajmujący dla artysty.

Lecz postępujemy dalej po szerokim jednostajnym trakcie, w głąb kaukazkiego kraju i zapoznajmy się wprzódy z tą miejscowością i różnemi ludami, o których więcej przyjdzie nam coś opowiedzieć. Zaczerpnąwszy źródlanej wody do tykwy, pożegnajmy się z kordonem i malowniczą jego załogą, pośród której chwilę zabawiliśmy podczas południowego skwaru, i zebrali kilka powyższych notat historycznych.

Znowu jesteśmy na obszernym stepie, oddychając czystem jego powietrzem; znowu nogi nasze zaczęły zwykłą swą pracę, do której tak przywykły, że nie spostrzegliśmy, jak doszliśmy do naszej stacyi.

Stannica czyli osada kozacza Siergiejewka, do której zawitaliśmy, wcale niewesoły przedstawiła oczom naszym widok. W okolicy piaszczystej, pozbawionej drzew i zieloności, pod stromą górą kilkanaście wyciągniętych w jednę ulicę chałup kozackich, oto wszystko, co nas niezbyt zajęło; a ciągły wiatr, który zimą i latem z wyniosłej płaszczyzny nad osadą nieustannie spadając, kręci zamiecią piasku lub śniegu, rychło każdemu się naprzykrzy. Jak powierzchowność osady, tak jeszcze mniej nas ujęło przyjęcie tamtejszych gospodarzy. Po długiem szukaniu ledwieśmy spotkali się z sockim czyli sołtysem. Nie spieszył się nam na spotkanie; leniwy i gniewny przyszedł, i słowa nie mówiąc poprowadził nas z jakąś niechęcią wzdłuż pustej ulicy, wskazując długą swą laską kwatery każdemu z naszego podróżnego towarzystwa. Wszedłem do wyznaczonej mi chałupy. Niechętnie jakoś gospodyni odpowiedziała mi na moje przywitanie. Za mną jeden z żołnierzy, owych towarzyszów podróży, wniósł tłumoczek. Gosposia, dorodna kozaczka, z rumianą twarzą, w czystej bieliznie, z pękiem paciorków na szyi, kończyła swój podwieczorek; lecz w żaden sposób rozmowy z nią zawiązać nie umiałem. Poprosiłem ją o wodę do umycia: wskazała ręką na ceber stojący w sieni, a sama zawiązawszy się w białą chustkę, poleciwszy mi, abym drzwi zamykał na kłódkę gdy będę wychodził, wyszła, bynajmniej nie troszcząc się o swego gościa. Siadłem oparłszy się nad stołem, układając plan jakim sposobem i gdzie się pożywić. Pod piecem gdakała kwoczka z kurczętami, które głośno i piskliwie wrzeszczały, dopominając się o toż samo, o co się i mój żołądek zgłodniały całodziennym postem, dopominał; tak, żem miał chęć razem z kurczętami i kwoczką zacząć gdakać, aby zwabić kogoś z gospodarzy, coby nas razem uspokoił. Wyjrzałem na podwórze, ani żywej duszy! Stajenki poroztwierane, a po umieceniu podwórza domyśliłem się, że dawno tam żadne stworzenie rogate lub nierogate nie postało. Z innemi towarzyszami drogi nie poznawszy się i ledwie po kilka słów przemówiwszy, nie chciałem radzić o najpierwszej życia potrzebie; lecz wziąwszy z sobą żołnierza, który zachęcony małym datkiem nieustannie mi usługiwał, wybrnęliśmy po piasku na wieś, szukając czegoś do posiłku: jaj lub mleka. Z trudnością sprzedano nam cokolwiek tego ostatniego.

Postanowiłem zwiedzić Siergejewkę; ale niewiele było do zwiedzenia. W pięć minut przeszedłem z jednego końca na drugi. Domki wszędzie jednostajne z pozamykanemi okiennicami, dla uchronienia się od much i upału. Rzadko

gdzie widać było ruch i ludzi, bo to była pora pracy czy w ogrodach, a te pola i ogrody leżały gdzieś daleko o wiorst kilkanaście lub więcej od stannicy. Tam wyruszyła cała ludność, tam kobiety, dzieci i kozaki, prócz tych, którzy pozostali na służbie przy stannicy, dla straży lub konwojowania dostojniejszych podróżnych i poczt. Kilkunastu więc na ten cel kozaków siedząc przy bramie, a raczej wrotach stanniczych pod poddaszem, cały dzień boży letni ziewając czyszczą swą broń, łatają baszmety, reperują buty i ładownice; a na każdy dźwięk pocztowego dzwonka już wszyscy na nogach, już gotowi do drogi. A poczty raz w raz dzwonią to w jednę, to w drugą stronę, od Stauropola ku górom, lub napowrót; bo jeden tylko ten trakt z obszernej Rossyi prowadzi na Kaukaz i do Gruzyi. Tym jednym traktem, jak zwężonem korytem rzeka, przelewa się bystro cała ludność tam lub napowrót, ludność wojskowa i cywilna. A każdy się spieszy tym wązkim kanałem; tylko się mignie, woła i hałasuje na poczcie i już go nie ma. Siergiejewka nawykła do tych przelatujących meteorów, zobojętniała na ten tłum różnych godności, migających się błyskawicą środkiem ulicy, nie boli ją głowa, kto tam jedzie i gdzie pędzi.

Wracając z przechadzki po stannicy, spotkałem jednego z junkrów towarzyszów podróży. Ten mi opowiedział jak sobie poradził, aby wymódz coś do posiłku od swej gospodyni. Z pomocą innych puścił wieść pomiędzy kobiety, że jest czarnoksiężnikiem, że dobre i złe sprowadzi na stannicę jak tylko zechce. Nuż więc ten mu znosić to jaja, to śmietanę i placki, lub kaszę jaglaną w mleku; nuż mu pochlebiać, aby nie zagniewał się na ich siedzibę. Tak on sam, jako i towarzysze jego dobrze się posilili tym podstępem, do którego nierzadko, jakem się później przekonał, uciekają się na linii żołnierze dla odegrania jakiej roli. Jeden właśnie tym sposobem wyciągnął ogromny haracz w winie i pieniądzach po stannicach grebieńskiego pułku, przepowiadając jednym uwolnienie z niewoli w górach ojca, innym męża, lub brata, albo córki i syna. Przepowiednie jego co do joty ziściły się, bo ów filut przybyły z jakiejś fortecy przodowej, był świadkiem wymiany wzajemnej jeńców, uczynionej przez władze wojskowe z jednym z nahiów Czeczeńskich. Sam był przytomny tej wymianie i konwojował całe to grono jeńców z gór uwolnionych, którzy mieli niedługo oglądać rodzinne stannice; a zbadawszy każdego ród i nazwisko, nim ci przeszli kolej różnych formalności, zwyczajnych przy takim z gór powrocie, ów prorok już między ich krewnymi i sąsiadami ogłaszał dzień ich powrotu, opisując każdego powierzchowność i opowiadając niektóre szczegóły ich życia.

Tak więc mój pobyt w pierwszej tej stannicy kaukazkiej niezbyt był urozmaicony. Miałem wprawdzie jak zawsze swą ucieczkę: tekę podróżną przy sobie, lecz mi się zdawało, że z brakiem ludności naokoło mnie zabrakło i myśli; niemogłem wydobyć z siebie żadnej chętki do czytania, a tem bardziej do ciągnienia dalej rozpoczętych prac poprzednio. Takie to osamotnienie w smutnej i piasczystej okolicy, bez życia i ruchu ludzkiego, robiło na mnie wrażenie, iż zdało mi się, że niemam o czem i dla kogo myśleć i czuć. Myśli i uczucia, jeśli chciałem jakie ułowić w mej duszy, uciekały jakby pocztowemi końmi przedemną i dobrze się wpatrzeć w siebie nie dozwalały. Szczęściem, że to może było jedyne miejsce na ziemi kaukazkiej i jedyny dzień tak bezbarwny. (C. d. n.)

Najnowsze dzieła.

DIABEL.

Powieść z czasów Stanisława Augusta, przez Kraszewskiego. 4 tomy we 2. wydanie poprawne.

Niezmordowany nasz powieściarz nieprzestaje obdarzać nas nowemi powieściami, które wszystkie, czy mniej czy więcej, noszą piętno wyższego talentu jakim jest obdarzony. Diabeł jest to powieść drukowana już dawniej w gazecie warszawskiej, a teraz przerobiona i poprawiona przez autora, która była celem wielu nagan, co znowu mówi na korzyść autora, bo tylko o lichych i miernych utworach krytyka milczeć zwykła.

Jakiekolwiek zarzuty powieści tej uczynićby można, najzawziętszy krytyk nie zdoła zaprzeczyć temu, że od początku daje się czytać z niemałem zajęciem, bo p. Kraszewski ma ten sobie właściwy talent, że najdrobniejszy szczegół umie podnieść płynnym i potocznym stylem, i bogactwem myśli, które mu każdy poddaje przedmiot, które mu płyną od niechcenia, niewymuszone, nienaciągane, ale lejące żywo z jego umysłu zawsze młodzieńczego, z jego serca, w którem wiek niewygasił źródła uczuć tkliwych. On niezawodnie pisze sercem, i najobojętniejszą nieraz scenę umie ożywić jakąś myśl serdeczną, która mu w sam czas przychodzi. Tego o wielu innych powieściarzach powiedzieć nie można, których utwory, chociaż nieraz zwycięzko wychodzą z pod kamienia probierczego, zaaplikowanych doń formułek krytycznych, niemniej przeto i same są zimne, i zimnemi zostawują czytelników. Bo zdaniem naszem nikt tak jak p. Kraszewski nierozumie tej wielkiej różnicy jak być powinna między stylem powieściarskim, a stylem że się tak wyrazimy krasomowczy, w którym wielu nawet znakomitych powieściarzy naszych niepospolite mają upodobanie. Styl taki krasomowczy, jakkolwiek potoczysty, zaokrąglony, pewny siebie, bezpieczny od wszelkiej krytyki gramatytalnej, wygląda zawsze wymuszono, a więc jednostajnie, monotonno, jakby na wizytę wykrygowany elegant, który ledwie ruszyć się zdoła, przygnieciony niewygodnym chociaż wzorowym strojem. Innym być powinien styl powieściarski i takim jest styl pana Kraszewskiego, niedbały na pozór, ale zawsze

przyzwoity, lekki, kapryśny nawet, skaczący bez przesady z okresu w okres, które tenże urywa lub przeciąga nie wedle formy jakiej, ale wedle mniej lub więcej żywej przedmiotu swego treści. Nie jest to elegant wizytowy jakby wykrojony z żurnalu, ale młody jeszcze chłopiec o długich włosach, któremu każdy chętnie przebaczy strój jego więcej fantazyjny, i każdy się ucieszy jego żywym choć nierównym chodem, każdy z współczuciem patrzy, na jego humor raz wesoły i swawolny, raz zamyślony i marzący.

Chcąc bardzo estetycznie rozbierać tę powieść p. Kraszewskiego, trzebaby ją rozebrać na dwie części, na część artystyczną czyli raczej imaginacyjną, i na część historyczną. Te dwie części zdaniem naszem, nie koniecznie zlewają się w siebie, bo nie są zupełnie stosowne do siebie. To co wymyślił powieściarz jako artysta, może stać samo przez się, bez dodatku historyczności, który nie jest samą treścią, ale rodzajem draperyi, dającej się równie dobrze zastosować do każdej innej treści, do wszelkich innych osób na pierwszym planie występujących. Część ta artystyczna jest trochę fantastyczna, a nawet mistyczna, co niekoniecznie odpowiada wymaganiom powieści historycznej w ogóle, ani też bardzo się stosuje w szczególności do tej właśnie epoki historycznej, którą autor przedstawić usiłował. Część zaś historyczna wzięta za draperją tylko i nie wypływająca z samej treści, musi przez to samo wyglądać za nadto lekko zeszkicowana. Uwagi tu owdzie rzucone mające służyć za łącznik obu części, dowodzi tylko że autor rozumie tę epokę dziejową o jakiej pisze, ale nie dają całej powieści głębszego historycznego znaczenia. Jest to więc jedyny słuszny zarzut jaki tej powieści uczyniby można, a który da się nato po prostu zredukować, że powieść ta nie jest ani ściśle historyczna, ani też czysto z wyobraźni piszącego czerpana. Na zarzut ten wszakże pedantyzmem nieco tchnącym najlepiej odpowiada autor samą powieścią, którą tak ją utworzył, zajmuje i bawi od początku aż do końca.

Najlepiej to zrozumiemy, gdy przejdziemy treść całą, która zapewne czytelnikom naszym więcej do smaku przypadnie, niżeli najwyrozumowańsze o niej rozprawy.

Zaczyna się powieść od przyjęcia króla Stanisława Augusta jadącego do Kaniowa, w domu podczaszyny Ordyńskiej z domu księżniczki W.. Pałac w Gluszy, i jego mieszkanie przystrojone są na stopę francuską, zaczynającą się coraz więcej rozprzestrzeniać na naszej ziemi zawsze dla wszelkich zachodnich nowości gościnnej. Pełno w nim zbytków zagranicznych, zacząwszy od labusia francuzkiego, który wychowuje jedynaka pani podczaszyny, pana Michała młodziutkiego jeszcze młodzieńca, przechrzczonego przez matkę Alfierem. Podczaszyna jest nadzwyczaj wzruszona, mimo egoizmu, który stanowi podstawę jej zwykłego charakteru, bo ten Stanisław August był przed laty jej kochankiem, namiętnie przez nią kochanym, w którym rada by przy tem widzeniu się wskrzesić choć jednę iskierkę dawnych tak łatwo u niego przechodzących zapałów. Opis przyjęcia gościa tak znakomitego bardzo żywy i z wdziękiem autorowi właściwym oddany. Starzejący się już król, w którym dawno wyschły przez nadużycie wszelkie uczuć zdroje, jest dla gospodyni bardzo grzeczny, ale nie może ukryć przed wzrokiem kobiety kochającej jeszcze tę lodowatą oziębłość, która go już całego zmroziła. Dają sobie z najzimniejszą grzecznością kosztowne dary, i do tego tylko te odwiedziny podczaszynie pomagają, że oddaje syna królowi pod opiekę. Obok tego wymanierowanego dworskiego obrazu, wystawia nam autor inny obrazek pełny uroku, bo swojski, a luby jak lube są pamiątki naszej przeszłości. W oficynie pałacu mieszka babka po ojcu młodego podczaszyca, pani starościna Ordyńska, niewiasta w całem tego znaczenia polska, bogobojna, prawa, sercem i umysłem czerstwa, choć już wiekiem zgrzybiałości sięgająca. W skromnym pokoju zapełnionym staremi sprzętami mieszka staruszka, a obok niej występują obrazki równie miłe starego marszałka Sinińskiego, jedynego polaka na zfrancuziałym dworze, i jego córki Anny. Stary marszałek pogardza oczywiście obyczajami francuskiemi, a Anna jest to dziewica prawdziwie polska, z sercem dzielnem, chociaż niewieściem, uzdolnionem do wszelkich cnót i poświęceń. Pomiędzy temi dwoma obrazkami, po środku prawie stoi młody Michał Alfier, prawdziwie połowicznego charakteru ani zupełnie zły, ani zupełnie dobry. Fałszywe wychowanie ku zewnętrznemu tylko wykształceniu zakierowane, przez Labusia Poinsot, niewierzącego ani w religią, ani w cnotę, ani w moralność skrzywiła jego z natury poczciwe ale za nadto miękkie serce. Zła jego strona jest upodobanie w tych błachych światowych błyskotkach; dobrą zaś, przywiązanie czułe do babki. Śliczna jest scena, gdy odwiedza babkę po cało-nocnej zabawie; wszystkie jej słowa nacechowane są tem wyższem rozumieniem obowiązków mężczyzny i obywatela, jakie staruszka objawia. W tej scenie zawiązuje się pierwsza nić jakiegoś fantastycznego mistycyzmu, który się ciągnie potem przez całą powieść. W pokoju staruszki jest obraz Św. Michała, pokonującego szatana, którego malarz przedstawił w całej szkaradzie jego dumy niepokonanej, złości, gniewu i mąk upokorzenia. Od najmniejszego dziecka czuł podczaszyc wstręt jakiś niepokonany do twarzy diabelskiej, graniczący o strach. To wrażenie szczególne odzywa się w nim gdy jest w pokoju babki, tak że ledwie śmie spojrzeć na obraz. (C. d. n.)

Rozmaitość.

* W koncercie p. Boguckiego weźmie udział panna K.... o której pięknym głosie już wspomnieliśmy dawniej i pani Biegel pierwsza śpiewaczka opery tutejszej.

* Dzisiaj popołudniu odbędzie się pogrzeb dwóch poważanych powszechnie weteranów obywatelstwa lwowskiego: Dra. medycyny Caspary, zmarłego w 82. roku i Jana Niemirowskiego, kupca w 76. roku życia.

Przyjechali od dnia 20. do 23. Kwietnia. do Lwowa.

PP. Komorowski Adam hr. z Konotop. Zatorski Maksymilian, z Załusza. Obertyński Henryk, z Cielca. Raczyński Jakób, z Krowicy hołodowskiej. Truskolaski Franciszek, z Jasionowa, Niezabitowski Napoleon, z Nakła, Czacki Aleksander hr. z Krechowa. Rulikowski Kajetan, ze Żółkwi. Borowski Ludwik, z Krowicy Hołodowskiej. Bromirski Michał, z Rusina. Niewiadomski Tadeusz, ze Soposzyna. Grochowalski Zygmunt, ze Świrza. Dzieduszycki Julian hr. z Jarczowiec.

PP. Komarnicki Jan; z Magierowa. Jazwiński Alexander, z Bortnik Dobrzański Stanisław, ze Stryja. Batowski Alexander, z Kulikowa. Bocheński Julian, z Brzeżan. Drochojowski Józef hr. z Balicy. Krasiński hr. z Rochatyna. Jordan Adolf. z Nowegosioła.

PP. Wisłocki Józef z Przebendowa. Krzaczkowski Marcin, ze Sambora. Zagórski Mieczysław, z Wołkowa. Zatorski Tadeusz, ze Załuża. Papara Aotoni, z Batiatycz. Drohojowski Eustachy z Łukawicy.

Wyjechali od dnia 20. do 23. Kwietnia ze Lwowa:

PP. Skrzyński Antoni do Gródka. Bess Adolf, do Boniowy. Ustrzycki Walery do Radymna. Dobrzański Julian do Milatyna. Thulie Jan do Mokrzan. Kłodziński Adam do Parchacza. Krasucki Alexander do Mostów małych.

PP. Ziembicki Henryk do Dobrostan. Tatzauer Józef do Krakowa. Brześcianski Wiktor do Rustweczka. Obertyński Leopold do Stronibab. Łoś Tadeusz hr. do Narola. Cetner Adalbert hr. do Podkamienia. Malczewski Julian. do Skwarzawy.

PP. Dunin Jan do Głemboki. Nahujowski Jan do Kropiwnik. Zgardziński Konstanty do Ulicka. Gottleb Antoni do Liwcza. Niewiadomski Tadeusz do Soposzyna. Komorowski Adam hr. do Konotóp Krzysztofowicz Kajetan do Tarnopola. Lux Władysław do Tarnopola.

Lwów, 23. Kwietnia. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 36 złr. 15 kr. do 40 złr. — kr. — Żyta po 26 złr. — kr. do 30 złr. — kr. Jęczmienia po 23 złr. 45 kr. do 25 złr. — kr. Owsa po 16 złr. — kr. do 16 złr. 45 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 22 złr. 30 kr. — Ziemniaków po 12 złr. 30 do 13 złr. 15 kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 47 złr. 30 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 42 złr. w.w. Cetnar siana 3 złr. 35 kr. do 5 złr. 38 kr. Centnar słomy 2 złr. 45 kr. do 3 złr. 45 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 17 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 23. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr.	$126\frac{1}{4}$	Pożyczka 5% $81\frac{3}{8}$ $4\frac{1}{2}$	$70\frac{7}{8}$
Hamburg za 100 tal. banco	$92\frac{1}{2}$	Akcye banku	—
Londyn za 1 funt szterl.,	12 $20\frac{1}{2}$	Kolej północna	1935
Medyolan za 300 lirów	$125\frac{5}{8}$	Obl. ind.	74
Paryż za 300 franków	148	Nowa pożyczka z loteryą	$102\frac{1}{4}$
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa	$85\frac{5}{16}$

Kurs Lwowski (Wczorajszy)

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	47	złr.	5	kr.	50
Dukat cesarski	«	5	»	52	»	5	«	54
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	5	»	10	«	10
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	58	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	53	»	1	«	54
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	92	«	—	»	92	«	50
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		73	»	—	»	73	»	30
5 proc. pożyczka narodowa		85	»	—	»	86	«	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**